

Informacja o projekcie

„Pani, kiedyś to było...”. Ten zwrot pada niejednokrotnie, gdy wspominamy i z sentymentem patrzymy w przeszłość. Dlatego właśnie tak nazwaliśmy nowy projekt Miejskiego Ośrodka Kultury i Sztuki w Oleśnicy.

Projekt w formie podcastów do odsłuchu realizowany jest przez Oleśnicki Dom Spotkań z Historią i ma na celu przybliżenie historii naszego miasta. Ale nie są to wzniosłe historie dotyczące wojen, zabytków czy wielkich nazwisk.

Są to mikrohistorie, te mniej oczywiste, z życia codziennego mieszkańców Oleśnicy kilkadziesiąt lat temu. Świadczenie historii dzielą się z nami obrazem miasta, którego już nie ma. Wspominają swoją codzienność ze szczególnym uwzględnieniem życia kulturalno-rozrywkowego i sposobów spędzania czasu wolnego.

Szósty odcinek projektu poświęcony jest restauracji Arkadia, a przede wszystkim dancincom, które odbywały się tam na przełomie lat 70. i 80. XX wieku. Naszym przewodnikiem będzie Pan Marek, który był klawiszowcem w zespole grającym na tych zabawach.

Odcinek ten należy do cyklu „Seta i galareta”.

Więcej informacji o projekcie „Pani, kiedyś to było...” można znaleźć na stronie

www.mokis.info.

Cykl „Seta i galareta” – restauracji Arkadia

Marek – pracownik restauracji Arkadia

Przedstawiam się... Nazywam się Marek, pseudonim miałem Komar. Byłem członkiem zespołu, który działał w restauracji Arkadia, nieistniejącej w tej chwili. Mieściła się ona przy Placu Zwycięstwa. W tej chwili znajduje się tam sklep motoryzacyjny, chyba bankowość jakaś i na samym rogu fotograf.

Początek współpracy z Arkadią

Do pracy w Arkadii przyjechałem z odległego Kluczborka – 70 kilometrów – miejscowość Kluczbork. Gdzie też grywałem, ale powstało tutaj zapotrzebowanie na klawiszowca. I gdzieś, ktoś mnie tam polecił pocztą pantoflową. Przyjechali kierownik, w dwójeczkę przyjechali. Porozmawialiśmy, uzgodniliśmy kwotę. I na następny tydzień zaczynałem pracę już w Arkadii, na pełnym etacie w WSS-ie [Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców]. Pieniążki były względnie dobre, wyżywienie mieliśmy do tego. Za każdy dancing była kolacja. Obfita, bez alkoholu. I tak się moja praca zaczęła. Ja zacząłem pracę w Arkadii w roku [19]79 i grałem do stanu wojennego.

Warunki zatrudnienia

My jako zespół byliśmy zatrudnieni na pełnym etacie, czyli ilość tam godzin... No, w tej chwili nie pamiętam ile, w każdym razie pięć razy w tygodniu graliśmy od 19 do 24. W sobotę 1 w nocy. Ale to był nazwany pełny etat. Mieliśmy wszystkie świadczenia, jakieś tam deputaty. Oprócz tego wyżywienie było podczas dancingu, dnia dancingowego. Urlopy nam przysługiwały, ale przeważnie nie zamykało się restauracji na dancingi, bo to był dochodowy biznes dla firmy. I woleliśmy ekwiwalent bo i tak wychodziliśmy lepiej na tym, jakbyśmy na urlop pojechali. Także pełny etat, wszystkie świadczenia, urlopy, deputat jakiś tam – chodziło o ubiór, o amortyzację sprzętu. W tym kontekście było bardzo fajnie, było bardzo dobrze.

Zespół

Pozostali koledzy grali na gitarach basowych, używali swojego głosu do śpiewania. Ja nie byłem dopuszczany, bo ja miałem za mocny głos i uważali, że nie ma takiego mikrofonu, żebym mógł śpiewać jak Roussos, na przykład. Tak, w Arkadii żeśmy tylko bazowali na własnym zespole i głosach, które brzmiały bardzo czysto i czytelnie. Oczywiście sprzęt własny mieliśmy, bo jednak taka działalność wymagała swojego sprzętu. Zawsze były kłopoty z kupnem takiego, na tamte czasy, ale dla chcącego nic trudnego. Było tak, że sprzęt był wysokiej jakości i oddawało to później efekt jako wykonanie. Spotykaliśmy się, proszę Państwa, zawsze godzinę wcześniej, no tak teoretycznie i robiliśmy wtedy jakiś utwór, dwa utwory. Każdy w domu sobie wysłuchał, dobrał tonację i żeśmy musieli to zgrać ileś razy czego tam, zwroteczka, refrenik, powtórzenie, koncert życzeń i takie inne sprawy. Żeby było wszystko ładnie, pięknie, bo scena wymaga pewnej oprawy.

Dancingi

Całe to pomieszczenie było przystosowane do dancingów, które odbywały się cyklicznie, od wtorku do niedzieli. Od godziny 19:00 do 24:00, w sobotę do 1:00. No, bywało, że były koncerty życzeń, które też przedłużały termin pobytu ale bardzo przyjemny termin. No, przewinęło się tam mnóstwo oleśniczan. Okolicznych miejscowości takich jak Namysłów, Kluczbork. Bo przyjeżdżali biznesmeni na dobrą muzykę, dobrą zabawę i przyjemnie spędzić czas, oczywiście wydać pieniądze. Działy się tam piękne rzeczy, cudowne. Bywały też takie, interweniowała policja, bo miłość nie zna granic. I w tym proszę państwa rzecz jest, że dobra muzyka, którą wykonywaliśmy w czwórkę. Grał Koni, grał Chińczyk, grał Rysiu, no i grał Marek. I żeśmy potrafili wszystkie przeboje przekazywać dla ludzi, które ukazywały się na rynku i dawało nam to pełną salę, którą wypełniali klienci chętni zabaw. Bywanie na dancingach nie było podyktowane sytuacją w kraju, czyli święta, post. Jak się bawić to się bawić. W zasadzie 90% zawsze była, niezależnie czy to był karnawał czy to był post. Może mniej tańczyło, więcej wtedy szło płynnych trunków. Ale było się i odbywało się. I lokal nie narzekał jako na dochody czy jakąś frekwencję. Zawsze był stan ludzi. (Głos prowadzącej wywiad: A czy na przykład zdarzało się zatrudniać kierownictwu jakiegoś wodzireja, który jeszcze dodatkowo animował tę zabawę?) W „Arkadii” nie istniała taka potrzeba, ponieważ wodzirem był Chińczyk, który świetnie prowadził całą ekipę. Potrafił zrobić czy to popularnie mówiąc kółeczko czy klaskanie czy... No, różne zabawy, które były w miarę potrzeb na danym dancingu potrzebne. I to co wiem, jedynie w Oleśnicy to „Perła” prowadziła taki program – przyjeżdżali ekstra artyści z Wrocławia i dawali program – tam striptiz był, to wodzirej jakiś zachęcał ludzi do klaskania. Ale to tylko w „Perle”. W „Arkadii” nie było takiej potrzeby, żeby naganiać ludzi, bo będzie striptizerka. Nie, nie było potrzeby. I wszyscy się ładnie bawili.

Koncerty życzeń

Dedykowanie utworów polegało na tym, że podczas grania, ewentualnie przerwy, którą zawsze mieliśmy 10-minutową pomiędzy czterema, pięcioma utworami... Co nie znaczy, że nie grywaliśmy więcej utworów, bo jak widzieliśmy na parkiecie bardzo rozbawione towarzystwo to dłużej graliśmy. Do momentu kiedy było widać, że zmęczenie zaczyna przemawiać, to robiliśmy tym ludziom przerwę, żeby mogli sobie odpocząć, troszeczkę odświeżyć gardło, coś takiego spożyć jakiegoś, żeby później niedobrze nie było. I wtedy podchodził dany pan czy pani, która życzyła sobie dla koleżanki, pani Marysi z tymi takimi tutaj buforkami, życzenia. Było na przykład dwóch braci, jeden był łysy, znaczy się łysawy, a drugi miał długie włosy. I ten z długimi włosami zawsze przychodził do nas, dawał setkę i

mówił: „Kwiaty we włosach dla brata, proszę”. No, i jedni płacili, drudzy nie płacili, no ale większość ludzi była przyzwyczajona, że takie sporadyczne rzeczy trzeba jakoś uregulować i to się odbywało bez kasy fiskalnej na te czasy mówiąc.

Personel „Arkadii”

Jako personel pracowało na dancingu czterech do pięciu kelnerek. W kuchni było, to co sobie przypominam, czterech kucharzy, nieraz trzech, czterech. Bufetowa. No, i pani kierowniczką była. I była pani odpowiadająca za salę i za wszystkie jakieś tam powstałe problemy czy jakieś niedociągnięcia. Ale w zasadzie też się nie napracowała, bo wszystko funkcjonowało jak się patrzy. W lokalu restauracja, o dziwo, takim nie wykidajłem, ale bramkarzem była kobieta, która sobie spokojnie radziła w wieku 40 lat z każdym jednym klientem, który był niesforny, niegrzeczny, no i chamowaty. To wtedy potrafiła z nim sobie tak zrobić, że on lądował na Placu Zwycięstwa, mógł czekać na 1 Maja sobie spokojnie. No, nie miał wstępu już wtedy. Był skasowany. Jak u Barei, zdjęcie jego wisiało – zakaz wstępu.

Bywalcy „Arkadii”

Wygląd bywalców „Arkadii”, na tamte czasy, tak jak wszędzie – włos tapirowany musiał być, oko mocno podkreślone, szmineczka musiała być ostra. No, nie wspomnę o paznokciach, bo przeważnie się kobiety przedstawiały nam, przychodziły, rozmawiały. Nie, no, ówczesny czas co do ubioru był raczej tak jak społeczeństwo chodziło. Dużo ludzi sięgało po wzorce z festiwalu z Opola, z Zielonej Góry czy też z Sopotu. Tam patrzono, tam zawsze artyści występowali w pięknych kreacjach. Ludzi przychodzili. Oczywiście, no nikt nie przychodził tak balowo, żeby tam walce tańczyć czy tanga w smokingu. Ale schludnie, nie w kufajce, na tamte czasy czy w gumofilcach. Tylko jednak w półbucikach, elegancko na szpileczkach.

Kuchnia podczas dancinów

Obiadowe sprawy można było zamawiać we własnym zakresie. No, ludzie różnie – bardziej majątni ewentualnie bardziej głodni – zamawiali sobie typowy schabowy z kapustą czy żeberka wtedy były na czasie. Bardzo dobre w „Arkadii”, kuchnia była prima sort. Pierwszy gatunek. I proszę ja Was, to było jedzenie wyszukane, dosmakowane. Finezja w ustach. W każdym razie, do biletu była zakąska, czyli tam śledzie, sałatka i tym podobne przekąskowe. I chyba, o ile sobie przypominam, setka wódki wchodziła w to. I napój. Tak. To się mieściło w cenie biletu. Nie pamiętam jakie ceny były, bo myśmy bez biletu wchodziłi. Ale wiem, że to się ludziom bardzo opłacało, bo jednak frekwencja mówiła sama za siebie.

Sprzęt

My jako zespół mieliśmy takie efekty świetlne, które na tamte czasy były tak „spod lady dostępne”. Czyli takie rzutniki, światła – one się tak okręcały, wisiały nad sceną czy bliżej parkietu. Już cały taki efekt świetlny... No, w tej chwili bez tego się nic nie odbywa – nawet wesele i rozwód, ale na tamte czasy to była bardzo piękna i motywująca rzecz, która „ślizgała się” po ludziach. No i każdy efekt był piękny wtedy.

Pracowaliśmy na własnym sprzęcie, czyli nagłośnienie było. Każdy miał swój piecyk... Piecyk... Wzmacniacz z kolumną, na której grywał, żeby nie było sprzężeń, bo niewskazane było takie działanie. I sprzęt w naszym zakresie był. No, zależało na czym się gra i wtedy też ten efekt muzyki był lepszy lub gorszy. W zależności od sprzętu. U nas wszystko było takie akuratne, potrzebne do takiej pracy.

Problemy techniczne i jak je rozwiązywać

Sytuacje różne bywały, ale popołudniu przeważnie wyłączeń prądu nie było. Także nie było zakłóceń w dostawach tego prądu na którym ten sprzęt pracował. Każdy miał swój sprzęt, czyli gitary przyjeżdżały z właścicielem. Organy... Pianino stało na scenie, także musiałyby być co najmniej dwóch osiłków, żeby ukraść takie pianino, z organami u góry jeszcze. A tak nie było żadnych takich problemów technicznych, ponieważ wszystko było dopracowane. Jedyny moment, później ludzie się tak troszeczkę uświadomili, bo wcale im się nie dziwię – hałas w domu mieli. To żeśmy częściowo tak musieli ściszać, ale na tamte czasy środkiem takim tłumiącym dźwięk i pochłaniającym ten dźwięk były wytłaczanki po jajkach, na 30 sztuk. No i przyszli fachowcy z WSS-u i sufity wykleili. Później ładnie pomalowali. Piękny efekt był. W tej chwili trzeba jakieś inne techniki stosować. Ale to zaraz się policję wzywa, bo jest głośno. A kiedyś nikomu nie przeszkadzało. Ci na gorze, podejrzewam, też mieli radość, bo sobie mogli za darmo potańczyć.

Bycie na scenie wymagało, po pierwsze niechorowania. Chociaż zdarzały się w życiu różne sytuacje, bo miłość i życie też nie wybiera. Ale jak to się mówi, w banku muzyków w Oleśnicy zawsze był ktoś na kim można się było oprzeć, bo jednak granie w zmniejszonym składzie... Już powstawała luka, a od razu bywalcy stali wiedzieli, że coś jest nie tak. Albo się chłopcy za mocno napili albo coś źle grają. I wtedy trzeba było jednak uzupełniać ten stan, doprowadzać do normalnego brzmienia.

Wybuch stanu wojennego

Stan wojenny mnie zastał podczas gry. Odbyłoby to się tak, o ile Państwo są ciekawi jak to wyglądało, to mogę opowiedzieć. Mianowicie... Dochodziła godzina 23 i na salę, pełną tłumy, rozbawionej publiczności, na salę weszło czterech panów w cywilu. Udali się prosto do bufetu, z boku, gdzie się znajdował bufet. I po jakimś czasie podeszła do nas pani, sympatyczna Wiesia, barmanka. I mówi: „Panowie, o ile macie dużo pieniędzy, to radzę kupić za wszystko alkohol, bo długo już go nie zobaczycie”. No to żeśmy posłuchali, co władza to władza, czyli mądrze mówi. Kupiliśmy tego alkoholu. A ci panowie, akurat to było czterech policjantów w cywilu, którzy przyszli pozamykać wszystkie magazyny, zliczyć butelki w bufecie, zrobić protokół i zaplombować. Także zdążyliśmy przed stanem wojennym jeszcze się zaopatrzyć. Tak wyglądało moje spotkanie ze stanem wojennym.

Upadek „Arkadii”

Po stanie wojennym „Arkadia” została nie wiem czy przelicytowana czy sprzedana... Przestał istnieć WSS i o ile sobie przypominam, „Arkadia” została najprawdopodobniej sprzedana. Ktoś to wykupił jako pomieszczenie ewentualnie lokal handlowy i WSS działał jeszcze jakoś. Remontowe sprawy, posiadali tam pracowników, ale to już było bardzo okrojone, chyliło się ku upadłości. I „Arkadia” już się nigdy nie podniosła po stanie wojennym.